

odłożył dziennik, pociągnął ręką po czole, podniósł się prędko, wyprostował, ubrał, zapłacił i wyszedł bez słowa z kawiarni.

Na ulicy przystanął, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Mruczał przy tem coś niezrozumiale i na koniec westchnął głęboko. Następnie wolnym krokiem przeszedł wielki plac, oglądając się ostrożnie, jakby się chciał upewnić, czy go kto nie śledzi i zniknął w jednej z bocznych ulic. Nie zauważył jednak, że po drugiej stronie ulicy, na pozór zupełnie obojętnie, idzie za nim krok w krok paryski dandys.

Po wyjściu nieznajomego z kawiarni podniósł się on ze stołka i z zupełną obojętnością wyszukiwał rubryk, które czytał nieznajomy i znalazł je natychmiast. Uśmiech zadowolenia wystąpił mu na usta, bo nieznajomego zajmowały tak bardzo doniesienia policyjne.

— Jestem więc na tropie i moja obecna podróż nie będzie bezowocna — zamruczał.

Następnie zapłacił, zarzucił na siebie futerko i wyszedł, by iść krok w krok za nieznajomym.

Nieznajomy wszedł na rogu pierwszej przecznicy do doróżki, która oddaliła się bardzo prędko.

Dandys zadowolony, że będzie mógł teraz śledzić nieznajomego, bez zwracania na się jego uwagi, zawołał na najbliższego dojeżdżającego doróżkarza:

— Dostaniecie 10 franków, jeżeli się wam uda dopędzić doróżkę Nr. 128 i towarzyszyć jej bez zwrócenia na siebie uwagi. Skoro się powóz zatrzyma, zwolnijcie tempo i przejeźdźcie dalej!

— Dobrze panie — zawołał woźnica i śmignął biczem.

Starszy jegomość nie przeczuwał nawet tego, że go ścigano; siedział w kącie powozu i patrzył tępo przed siebie. Niebieskie okulary spadły mu z nosa, a on na to nie zwrócił uwagi. Jakies imię przeszło mu przez wargi, lecz turkot powozu stłumił brzmienie.

Po półgodzinnej jeździe zatrzymał się powóz w ciasnej uliczce i nieznajomy wyszedł z niego. Śnieg oślnął go i wtedy dopiero zauważył brak okularów. Odwrócił się nagle, zaczął szukać w pudle powozu okularów, nasadził je na nos i zapłacił woźnicy.

Drugi powóz przejechał powoli obok i zaczął zniknąć w ulicy. Nieznajomy otworzył bramę niepokojnego domu, zamknął ją za sobą i wszedł na czwarte piętro, na którym zajmował parę pokoi-ków. Na drzwiach błyszczał na blasze napis: Hektor de la Croix, nauczyciel muzyki.

Nieznajomy wyszedł na schody elastycznym krokiem, bo tutaj nie mógł go już nikt obserwować. Rozprostował się, zamknął drzwi, rzucił w przedpokoju kapelusz i palto, a wszedłszy do pokoju, podszedł w milczeniu do krzesła i rzucił się ciężko w nie. Teraz, gdy go nikt nie mógł śledzić, między czterema ścianami, które nie mogły zdradzić jego tajemnicy, nie potrzebował się wcale krepować. Zasłonił twarz rękami i głuchy jęk wydobył się z jego piersi. Coraz straszniej układały się stosunki! Nie widzę wyjścia przed sobą i gdzie tylko spojrzę, wszędzie ogarnia mię rozpacz. Giza zginęła, zamordowana, jak twierdzi paryska policja! A ja, niestety, nie mogę iść im powiedzieć: To nie prawda, co przypuszczacie, wasze oczy nic nie widzą, bo wszystko złożyło się inaczej! A przy tem ta straszna trwoga, że każdy może mię poznać!...

Stary muzyk podniósł się po chwili z krzesła i podszedł do okna. Musiał się nieco uspokoić, bo wkrótce stanął przed lustrem i zaczął się przyglądać.

Nie, nikt nie może mię poznać; przynajmniej tego jestem pewny!

Hektor de la Croix zdjął teraz siwą perukę i rzucił ją na obok stojący stolik. Znikły także ciemne okulary i ten sam los spotkał siwe bokobrody. Gdy teraz czarno ubrana postać zwróciła się do okna, Hektor de la Croix przemienił się w księcia Anatola de Bligny.

W tejże chwili zadrżał książę. Co znaczyło to dzwnienie w przedpokoju? Nie utrzymywał przecież z nikim żadnych stosunków, a tabliczka na drzwiach była tylko czczą formą i nie potrzebował się też obawiać, by opadła go chmara uczniów.

Książę poruszył głową, jakgdyby sądził, że się przesłyszał. Odkąd tutaj mieszkał, nie było u niego nikogo, prócz starej, na pół głuchej posługaczki! Może to żebrak, lub kto podobny.

Ten ktoś zdawał się niecierpliwie, bo zadzwonił po raz drugi. Zaniepokojony, wyszedł książę do przedpokoju i podszedł ku drzwiom. Zapomniał całkiem, że odłożył perukę, okulary i bokobrody. Przez dziurkę zaczął się przyglądać przybyszowi

i zobaczył przed drzwiami młodego człowieka. ubranego w futro, lecz z powodu ciemności, panującej w sieni, nie mógł rozpoznać rysów twarzy.

— Czego sobie pan życzy? — zapytał książę głośno, z pewnym niepokojem w głosie, którego mimo wszelkich usiłowań, nie mógł się pozbyć.

— Przepraszam, jeśli panu przeszkadzam — brzmiała spokojna odpowiedź. — Powiedziano mi na dole, że udzielasz pan lekcji muzyki i chciałbym w tym kierunku zadać panu kilka pytań!

Książę zastanawiał się chwilę, następnie otworzył drzwi.

— Proszę pana — rzekł — chociaż sądzę, że nie będę mógł odpowiedzieć pańskim życzeniom, bo nie udzielam już więcej lekcji.

Elegancko ubrany gość nie rzekł ni słowa, lecz przeszedł ciemnym przedpokojem do pokoju, który książę przed nim otworzył.

Szybki rzut oka wystarczył, by zbadać urządzenie pokoju i odkryć siwą perukę, leżącą na stole obok niebieskich okularów.



W tejże chwili błysło światło ślepej latarki i biały, niezwykle silny promień padł na Lisa.

Książę wskazał ręką krzesło.

— Jeżeli mogę prosić... — powiedział.

Równocześnie przypomniał sobie, że odłożył perukę i straszna trwoga odbiła się na jego obliczu. Było już zapóźno, by naprawić zapomnienie. Lecz i druga okoliczność zaniepokoiła go jeszcze bardziej. Młody człowiek, siedzący przed nim, był tym samym dandysem, którego widział dzisiaj w kawiarni.

Z dziwnym uśmiechem podszedł on ku księciu.

— Pozwoliłeś się pan podejść, książę de Bligny — rzekł zimno Paryżanin. — Obserwowałem pana już od wczoraj popołudniu w kawiarni i przyszedłem dzisiaj do przekonania, że moje podejrzenie było zupełnie uzasadnione.

Stary muzyk, Henryk de la Croix, umiał doskonale odegrać swą rolę, lecz zdarzają się chwile, w których się zdradzamy. I tak wystarczyło mi to krótkotrwałe przerażenie z pańskiej strony, gdyś pan czytał paryskie „Figaro“, aby skonstatować, że właśnie doniesienia paryskiej policji tak pana przeraziły. Reszta była tylko drobnostką. Pozwoli pan, że mu się przedstawię jako tajny detektyw.

Książę zdrewniał formalnie. Szeroko otwartymi oczyma patrzył na mówiącego, który utkwił w nim swe siwe, przenikliwe oczy.

Oblicze rzekomego eleganta paryskiego było teraz całkiem poważne.

— Pan miałby być — jękał książę, podczas, gdy mu w głowie kotłowało.

— Bernard, paryski urzędnik bezpieczeństwa publicznego, książę, zwany „Szklanym oczkiem“! Miałem już raz szczęście spotkać się z panem i to niedawno temu. Przypomina sobie pan zapewne swój nocny pobyt w pańskiej willi wtedy, gdy cały Paryż uważał pana za umarłego!

Książę opadł na stołek i rzekł głucho:

— Nie mogę temu zaprzeczyć, że jestem rzeczywiście księciem de Bligny. Tylko, proszę, być przekonanym, że nie jestem winien tego, o co mię pan posądza, chociaż okoliczności świadczą przeciwko mnie! Względem pana tylko zawiniłem i to jest jedyna moja wina; mam na myśli ów strzał, którym przeciwko panu skierowałem. Dokonałem tego

w największym rozdrażnieniu, bo wtedy widziałem, że ktoś wyłamał moje biurko i wykradał z niego moje dokumenta! Sądzę, że miałem nawet pewne prawo, złodzieja, którego w panu widziałem, bronią uczynić nieszkodliwym!

Bernard odpowiedział z milutkim uśmiechem:

— Ja sam, książę, nie biorę panu tego strzału za złe i jeżeli się panu uda odeprzeć inne zarzuty, przeciw niemu skierowane, to tego nie powinien się zupełnie obawiać. Przypadek zrzucił, że strzał chybił i masz pan zupełną rację, że mógł to być i złodziej, który skorzystał z nieobecności księcia de Bligny, aby zapoznać się z jego biurkiem! Czy mogę teraz prosić o jedną rzecz, książę?

— Proszę mówić — brzmiała odpowiedź śmiertelnie bladego księcia.

— Chciałbym pana prosić, abys pan zechciał natychmiast wrócić do Paryża! Wiesz pan przecież, że wszelki opór byłby bezskuteczny, bo marsylska policja pospieszyłaby mi natychmiast z pomocą! Chciałbym jednak, o ile możliwości, uniknąć wszelkiego niepotrzebnego rozgłosu i dlatego radziłbym panu natychmiast wsiąść ze mną do powozu i udać się najbliższym pociągiem do Paryża!

Książę zbladł jeszcze bardziej, bo spokojne słowa detektywa zawierały w sobie jego uwięzienie.

— Chcesz mię pan uwięzić! Dlaczego nie powiesz pan tego wprost?

— Nie jestem tak niegrzecznym, abym się sprzeciwił. Nie jest to w mej mocy odwrócić od pana nieszczęście, które pana spotkało! Proszę mi tylko powiedzieć, czy jesteś pan gotów odbyć ze mną podróż do Paryża?

— Jestem zdecydowany! Chciałbym tylko uzupełnić ubranie. Nie potrzebujesz się pan niczego obawiać, najmniej zaś tego, że mógłbym sobie odebrać życie. Uważam samobójstwo za tchórzostwo, a tchórzem być nie chcę.

Bernard zgodził się, a książę udał się do boczego pokoju, od którego drzwi zostawił otwarte!

Po niespełna pięciu minutach, powrócił książę i rzekł:

— Jestem gotów! Chciałbym jeszcze zostawić na dole krótki liścik i czynsz za mieszkanie. Pozwoli pan na to przecież!

Bernard znowu przytaknął i wyszli obaj do sieni, a książę zamknął drzwi wchodowe.

(Ciąg dalszy nastąpi).